

Marek Kalbarczyk

Widzieć muzyką



**WYDAWNICTWO
TRZECIE OKO**

Warszawa 2022



Zadanie publiczne pn. *Włączmy niewłączonych - mazowiecka kultura dla wszystkich* dofinansowane ze środków z budżetu Województwa Mazowieckiego

Mazowsze.
serce Polski

Mazowsze >> dla organizacji
pozarządowych >

Opowiadanie o muzyce to opowiadanie o zupełnie innym świecie niż kiedy się mówi o obrazach. Może to niesprawiedliwe, jako niewidomy mogę się mylić, ale wydaje mi się, że obrazy są zbyt konkretne, przez co blokują zdolność do abstrakcyjnego myślenia. Aby go odblokować, należy zamknąć oczy. Z otwartymi pozostaniemy w konkretnej rzeczywistości. Co innego muzyka. Jest dostępna poprzez słuch i nie zajmuje zmysłu wzroku, którego ważną cechą jest nieuchronne i często przesadne zaangażowanie odbiorcy. Muzyka wkrada się do nas jakby ciszej, mniej inwazyjnie, dzięki czemu pozostawia znaczny margines swobody. Słuchamy i myślimy. Ona w tym procesie nie przeszkadza. Przeciwnie, pomaga. W jej towarzystwie nawet łatwiej wyobrazić sobie to, co lubimy i odrzucić wszystko pozostałe. Mogą jej towarzyszyć obrazy, ale nie takie, które są dookoła, lecz wyimaginowane, całkowicie osobiste i odpowiadające naszemu nastrojowi. Wreszcie muzyka to wiadomości o ludziach, którzy ją stworzyli albo odtwarzają. Styka się to z naszym wyobrażeniem o nich i pozwala zweryfikować – podoba się nam, czy nie?

Nie widzimy, ale nie jesteśmy zamknięci - przecież słyszymy! „Otwieramy” uszy i już się wydaje, że także my widzimy. Wtedy dociera do nas muzyka świata, a wśród niej muzyka artystów, których lubimy. Z takim samym zaciekawieniem i uznaniem słuchamy dźwięków przyrody, odgłosów codziennej aktywności otoczenia, jak i sztuki stworzonej przez wybitnych artystów. Nie znam lepszego sposobu na bycie niewidomy, jak widzenie poprzez słuchanie. Nawet dotyk nie jest takim świetnym narzędziem zastępującym brak wzroku. No więc my, niewidomi, nie musimy „zamieniać się w słuch”, bo cali (i to na co dzień) jesteśmy słuchem.

Jako dwunastoletni chłopiec dostałem cudowny prezent – gitarę! Jeszcze widziałem. Mogłem ją obejrzeć i się nią zachwycić. Była tania i raczej byle jaka, ale dobrze, że w ogóle była. Taka zwyczajna, NRD-owska, zatem wyprodukowana w naszym polityczno-ekonomicznym bloku. Celowano wtedy nie tyle w zaspokajaniu marzeń, lecz w najlepszym przypadku w zaspokajaniu podstawowych potrzeb i nieudolnym dowodzeniu, że w systemie socjalistycznym też jest dobrze. Sprezentowała mi ją ciocia, bardzo dla mnie miła i kochająca. Kupiła ją nie

przypadkiem, wiedziała bowiem o moich muzycznych marzeniach. Pracowała w ówczesnej centrali muzycznej, dystrybuującej instrumenty na cały kraj i w sytuacji braków na rynku wszystkiego, użyła swoich możliwości dla jej zdobycia. Nic wtedy nie było proste. Przywiozła ją do Lasek, gdzie się uczyłem. Ba, uczyłem to za mało powiedziane. Ja tam mieszkalem – oczywiście w internacie. Wziąłem gitarę do rąk i zrozumiałem, że nie umiem grać. Tak samo nieudanie wziąłem do rąk skrzypce, kiedy miałem 7 lat. Jak zagrać cokolwiek, gdy się tego nie potrafi? Tak czy inaczej wszyscy wiedzieli, że marzę o byciu muzykiem. Miałem tak od początku życia. Jako malec brzdąkałem, stukałem i podśpiewywałem sobie. Od wtedy do teraz, kiedy tylko stykam się z jakimś instrumentem, brzdąkam i brzdąkam i nie ma żadnego znaczenia czy umiem, czy nie umiem grać. Nie o to przecież chodzi, lecz o możliwość opowiadania o swoich emocjach. Muzyczny język cenię tak samo jak werbalny. Muzyczna ekspresja jest nie do zastąpienia w wielu sytuacjach. O wiele łatwiej zagrać radość czy smutek niż o nich powiedzieć. Wiadomo przecież, że o miłości często się gra, a rzadziej mówi.

Uczyłem się grać na gitarze i wyglądało to optymistycznie. Miałem bowiem dobrych nauczycieli – dwóch moich niewidomych przyjaciół z klasy. Jednym z nich był Janusz Skowron, późniejszy wybitny muzyk jazzowy. Drugi był kompletnym amatorem, który sam nauczył się grać najpierw na akordeonie, a potem na perkusji. Po drodze sam wymyślił jak ułożyć palce na gryfie, by zagrać gitarowe akordy i mi je pokazał. Przy tej okazji zrobił dla mnie coś o wiele ważniejszego – nauczył samodzielnego poszukiwania kolejnych chwytów. Obaj już odeszli, a jak właśnie widać, mimo tylu lat została wdzięczność i moja pamięć o nich.

Nauczyłem się nie tylko grać, ale także czegoś o największym znaczeniu – muzycznego języka, dzięki któremu przekazuje się rzeczy trudne do wypowiedzenia. I żyję sobie z muzyką na co dzień – a to gram, a to słucham, a zawsze mi za mało. Szkoda, że brakuje czasu. Gdybym go miał, opowiedziałbym o wszystkim, a tak mogę opowiadać jedynie troszkę.

Kiedy moje muzykowanie jest o czymś, słuchacze znający ten język wiedzą co „mówię”. Mogą zamknąć oczy i wyobrazić sobie obrazy związane

z przekazywanymi treściami. Zawsze też w tym pomagam. Poza graniem dźwięków, opowiadam. Nie, to nie to samo co sama muzyka. Słowa są jakby obok muzycznej narracji i dodatkowo ją wyjaśniają. Ułatwiają jej odbiór. I może nie w samych słowach rzecz, lecz w nastroju, który tworzą.

Skąd muzyk wie, jak przekazać emocje? Które dźwięki i jak powinny być zagrane, by pasowały do nastroju, który ogarnia muzyka, na przykład dla radości z wykonania zadania i uzyskania dobrej oceny, albo przeciwnie – do żalu, gdy miało dojść do miłego spotkania, a nie doszło? Jak zagrać o cudownym krajobrazie albo dziele sztuki, względnie o niepokojącym, przyrodniczym zjawisku? Nie jestem muzykologiem, nie będę więc próbował tego przedstawić. Po prostu tak jest, że znamy funkcję przyporządkowującą dźwięki do przeżywanych emocji i bardzo lubimy z tego korzystać.

Skoro tak, nietrudno uwierzyć, że kiedy zamieniam się w słuch, intensywnie przeżywam to, co grają inni muzycy. Zamykam oczy i jak tylko odblokuję tę możliwość, pojawiają się w mojej wyobraźni liczne obrazy. Czy są przypadkowe i wynikają wyłącznie z moich osobistych nastrojów i myśli, czy jednak bardziej z wysłuchiwanym „opowieści”? Otóż na pewno są moją z nimi rozmową. Kompozytorzy i odtwórcy „wysyłają” swoje emocje, a ja „oglądam” to, o czym oni „mówią”. Jeśli tak słuchać muzyki, wszystko staje się takie wspaniałe. Właśnie w ten sposób dźwięki wiążą się z obrazami, których brakuje kiedy się nie widzi. Muzyka wypełnia tę lukę i staje się coraz bardziej niezbędna. Co więc sobie wyobrażam, kiedy słucham poszczególnych kompozytorów i odtwórców klasycznych, współczesnych, rockowych czy jazzowych?

Sądzę, że moja wyobraźnia niczym się nie różni od innych. Wszyscy mamy podobnie działające trzecie oko. Będąc wychowani w tym samym kręgu kulturowym, żyjemy tymi samymi symbolami i mamy wspólne wyobrażenia, o których decydują nie tylko muzyczne dźwięki, ale także związane z nimi (zapisane czy wypowiedziane) treści. Przecież często mamy do czynienia z komentarzami czy to samych kompozytorów, czy ekspertów i słuchaczy. Nawet kiedy nie wiemy co mieli na myśli, możemy polegać na wiedzy ogólnej, wewnątrz której się

poruszamy. Docierające do nas narracje nakładają się na siebie i działają na naszą wyobraźnię. Słuchając muzyki odczuwamy emocje - każdy na swój sposób, ale mają one wspólny mianownik. Obdarzeni dużą wyobraźnią, stosownie do tego, sięgamy do osobistych przeżyć i przedstawiamy związane z nimi obrazy. Ja właśnie tak mam. Uszy „otwarte”, dwoje oczu - zamknięte, a trzecie „otwarte”. Pojawia się to tylko wtedy, gdy to odblokuję. Kiedy jestem zajęty czymś innym, oko „milczy”. Kiedy nie zajmuję się niczym, a tylko słucham, oko ożywa i przeżywam miłe chwile.

Co ogląda moje trzecie oko, kiedy powietrze rozruszane energią i emocjami muzyków tak cudownie drga? Ba, trudno o tym mówić. Obrazy zależą nie tylko od samej muzyki, ale także od nastroju i wydarzeń, w których biorę udział. Wreszcie trzecie oko sięga także do bazy wiedzy nagromadzonej od dziecka i zaczyna się spektakl.

Chopin – pokój ciszy w internacie w Laskach. To tam Janusz Skowron zasiadał po prawej stronie pianina, Wojtek Maj po lewej. Grali na cztery ręce i było fantastycznie! Widzę ich siedząc na krześle z tyłu. Bliżej nich wychowawczyni i kilku kolegów. Jedni z twarzami ludzi zachwyconych, inni tylko zwyczajnie radośni. Ja siebie nie widzę, a tylko wiem, że ta muzyka zgadza się z moim marzeniem, by grać. To tam chowałem się przed innymi i nieudolnie próbowałem zagrać znane mi, popularne piosenki: „Jest taki dzień” z albumu „Dzień jeden w roku”, „Norwegian wood” Beatlesów, „Cała jesteś w skowronkach”.

Kiedy indziej Mazowsze, dom, w którym urodził się Fryderyk, dom, którego chyba nigdy nie widziałem, a tylko go sobie wyobrażam – niski, parterowy, rozległy, zwyczajny, niebogaty, skromny, z dwuspadzistym dachem koloru brunatnego z mniej więcej żółtymi ścianami. Pojęcia nie mam czy tak jest w rzeczywistości. Nie pytałem, a dopiero teraz, po napisaniu tych słów, sprawdzę. Albo mazowiecki krajobraz – Puszcza Kampinoska, która dotyka zarówno Żelazowej Woli, jak i podwarszawskich Lasek z ośrodkiem dla niewidomych. Pewnie tam biegał, a później, przed wyjazdem z kraju, przechadzał się genialny kompozytor i pianista. Pewnie gdzieś tam oglądał i słuchał polskich mazurków, kujawiaków

i oberków. Może również ten krajobraz pomógł mu stworzyć koncerty: e-mol i f-mol. Nie wydaje mi się, by ta piękna mazowiecka przyroda mogła prowadzić do sonaty b-mol.

Miles Davis – amerykańskie miasto, pewnie Nowy Jork, ulica, mnóstwo samochodów i pieszych, różnokolorowi i bardzo rozgadani, wszyscy: „Co u ciebie?”, „Wszystko w porządku”. Obok wysokie budynki z dziesiątkami okien, w jednym z nich Miles z trąbką, albo Joe Zawinul za klawiaturą syntezatora, ukrytego za okienną szybą. Może starszy facet z trąbką w rękach, ustnikiem w ustach, stojący obok jakiegoś bufetu, a na nim fajeczki i szklaneczka z whisky? Gra i opowiada o świecie pełnym technologii, rozgardiaszu i ludzi biegnących tak szybko, że już nie wiedzą gdzie i po co, albo zmęczonych, ze zdziwioną miną – co tu właściwie się dzieje?

Janusz Skowron – w swoim domu, przed elektronicznym pianinem, pokazuje mi jak grać „Let it be” Beatlesów. Albo krąży po swoim saloniku ze szklaneczką coli w ręku i rozmawia o polityce: „Kiedy wreszcie będzie normalnie?”, albo „Czy w tym kraju niewidomy mógłby zostać prezydentem?”, która to wypowiedź spowodowała, że wziąłem się do pracy i napisałem książkę o mniej więcej takim tytule. Może: Janusz siedzi z nami przy stole, nieco zgarbiony i mozolnie odnajduje na talerzu kawałki mięska. Zabierało to mu, tak samo jak mnie, sporo czasu. Zaraz podniesie głowę i poprosi Elę o dokładkę. Ona stoi i właśnie o nią pyta: „Smakowało? Chciałbyś jeszcze troszkę?”

Może jednak obraz wąskiej ścieżki z drzewami dookoła, a my nią idziemy nie wiedzieć dokąd i rozmawiamy. Mamy po 15 lat i jesteśmy tak samo niewidomi, jak zadowoleni z życia. Jest jesień i wszystko dookoła szumi i szeleści. Liście spadają z drzew, a my rozmawiamy o płytach, które nam sprezentowano – jazz i rock, wtedy nazywamy bigbitem.

Jimi Hendrix – stoi z gitarą nad głową. Trzyma ją w rękach i nie dość, że to trudne, pracuje palcami na gryfie i gra. Widzę jego twarz, taką niewyraźną, przyciemnioną, włosy szalone jak on cały. Jest w jakiejś koszulce z nadrukiem, będącym zapewne wezwaniem do pokoju. Jest na scenie, a obok kotłują się fani.

Gdyby tylko mogli, wskoczyliby na scenę i rozerwali Jimiego na kawałki. On uśmiechnięty, ale już w jego twarzy widać klęskę. Ma ponad 26 lat i już niedługo ciało odmówi mu posłuszeństwa. Jako że wiem o jego życiu, moje trzecie oko to widzi.

Jan Garbarek – norweski las nad brzegiem morza. Wysoki klif i fale pędzące w jego stronę, jakby chciały go obalić. Muzyk stoi z saksofonem w rękach i gra jak nawiedzony. Jego muzyka wywołuje dreszcze w całym ciele, a trzecie oko widzi kolejne fale – tym razem rozchodzące się w powietrzu, niby bezbarwne, jednak leciutko zabarwione mało odczuwalnym odcieniem. Fale obu żywiołów łączą się na dole obrazu i interferują ze sobą, a Jan gra i gra. Woła o szczęście wśród tej chłodnej, norweskiej przyrody, kiedy ludziom, o wiele słabszym od jej sił, nie jest lekko.

Jimi Page z Led Zeppelin i ich „Schody do nieba” – schody? Jednak nie! Raczej piękna panienka, która tak łatwo chciała mieć wszystko, a wreszcie zrozumiała, że tak się nie da. Albo piękny pejzaż z nielicznymi drzewami nad małym strumykiem, a obok gość z fletnią pana, albo zwykłym flecikiem, i gra. Patrzy na rozchybotane gałęzie drzewa stojącego obok i zaczyna się solówka gitary. Brzmi tak, jak świecą błyszczące koraliki związane biało-złotym łańcuszkiem. Kolejne dźwięki trafiają do środka duszy. Jak paciorki koralików dotykają skóry na piersiach dziewczyny i starają się dotrzeć do jej serca. To życiowe mądrości, których jej brakowało. I zaczyna śpiewać Robert Plant, i wszystko jedno jakie to słowa, bo ważny jest sam jego głos. Słyszymy zaproszenie do piękniejszego świata, w którym wszystko wygląda ładniej niż wtedy, kiedy nam się nie wiedzie.

Wreszcie dźwięki znikają i zostaje piękna cisza. Jedni odkładają trąbki, flety i gitary, inni zamykają klapę fortepianów. Ja zamykam trzecie oko, bo musi odpocząć i nasączyć nową treścią. Jaka? Kiedy jeszcze nie wiadomo, najpierw zadbam o ciało i spróbuję znaleźć najzwyklejsze, polskie jabłko – takie soczyste, jednocześnie kwaśne i słodkie. Czas wrócić do rzeczywistości, prawda?



Dźwięki prosto z Nieba

Dźwięki, które nam (niewidomym) opisują i wyjaśniają otoczenie, a poprzez ich licznosc i rozmaitosc wręcz cały świat, uzupełniają nam wszelkie niedostatki związane z brakiem wzroku. Tak jak widzący otwierają szeroko oczy, by widzieć i rozumieć jak najwięcej - my nadstawiamy uszu, by słuchać i słuchać, a kiedy dobrze się skoncentrujemy – słyszeć i słyszeć. Powszechnie się uważa, że my lepiej słyszymy, ale zawsze wyjaśniamy, że jedynie lepiej słuchamy. Co z tego wynika? Jaki mamy z tego tytułu pożytek? Otóż dzięki temu lepszemu słyszeniu możemy potwierdzić, że żyje się nam interesująco. Tak jak widzący potrafią mieć kolorowe życie, my potrafimy stworzyć atrakcyjne, dźwiękowe widowiska. Raz polegają na spotkaniach z innymi ludźmi, rozmowach, dyskusjach, wymianie wiadomości czy poglądów, a kiedy indziej na wtopieniu się w dźwięki otaczającej nas przyrody i głosy żyjących obok zwierząt. Dla każdego coś miłego i na pewno, jeśli tylko chcemy i się otworzymy na odbiór, a nieco przyhamujemy własne nadawanie, mamy w czym wybierać.

Docierające do nas dźwięki mogą być pozytywne albo negatywne, optymistyczne albo pesymistyczne. To, co słyszymy i czego chcemy słuchać, w dużym stopniu zależy od nas. To my sami wybieramy czego otrzymamy więcej. Nie musimy rozmawiać z każdym, ale też nie musimy wiedzieć o sprawach, które nas nie cieszą. Możemy ograniczyć swoje kontakty i relacje o otoczeniu do jedynie dobrych wiadomości, a złe ucinąć. I tak, możemy rozmawiać głównie z przyjaciółmi, a nie przeciwnikami, z ludźmi wiedzącymi więcej, a nie wkraczającymi w nasz świat z byle jakimi wiadomościami, a tylko sprytnie nam przedstawianymi, czasem wręcz nieuprzejmie i impertynencko. Możemy słuchać o sukcesach, a nie porażkach, albo o optymistycznych historiach, a nie narodowych czy rodzinnych wypadkach. Możemy poznawać świat, zaczynając od kraju, albo rozpędzić się i wyjeżdżać dalej, odwiedzać muzea, zabytki, galerie sztuki, dobrze zorganizowane i dostosowane galerie handlowe, a nie odwrotnie. Wybór jest ogromny i mimo, że i tak będziemy musieli wysłuchać jakichś negatywnych wiadomości,

dzięki możliwości wyboru ogromną większość będą stanowiły wiadomości dla nas dobre.

Nadeszły wakacje! Po okresie zdziwienia, że pogoda jest jakaś taka niewyrazna, przyszła piękna, ciepła i radosna. Teraz więc wyjeżdżamy i odpoczywamy. Zamiast słuchać o problemach w domu i pracy, będziemy słuchali dźwięków otoczenia, nowych miejsc i nieznanym nam relacji. Wakacje to okazja do odmiany klimatu. Może to polegać na zmianie geograficznej, kiedy oddalamy się od codzienności na setki, czasem nawet tysiące kilometrów, albo zmianie merytorycznej, kiedy jesteśmy w zupełnie nowej przestrzeni dźwiękowej i informacyjnej. Gdyby szukali Państwo takiej zmiany, zapraszam tam, gdzie bywam ja, ba, gdzie właśnie byłem.

Usiądźcie na środku obiektu, gdzie po lewej i prawej stronie, z przodu i z tyłu dzieli Was od ścian mniej więcej tyle samo przestrzeni. Wyciszcie emocje, zapomnijcie o sprawach, które niepokoją i zamieńcie się w słuch. Poczekajcie aż się zacznie dźwiękowe widowisko, by się przekonać, że jest równorzędnie atrakcyjne i ważne jak obrazy, które ogląda się oczami. Gdzie Was zapraszam? Oczywiście – do kościołów! Na co? Pewnie, że na koncerty organowe. Jeśli nie uda się trafić na autentyczny koncert, organiści grają także podczas Mszy Świętych. Mogą na nie przyjść zarówno ludzie wierzący, wyznawcy wybranego kościoła, religii, jak i niewierzący, którzy lubują się w takich klimatach i dźwiękach. Gdzie należy pojechać?

Miejsc, gdzie wystarczy nadstawić uszu i przy przymkniętych powiekach poczuć się jak w Raju jest wiele. Podczas wakacji odwiedziłem Archikatedrę Św. Jakuba w Szczecinie, w której byłem wiele lat wcześniej, kiedy wyjechaliśmy z klasą z podwarszawskich Lasek na szkolną wycieczkę. Nie pamiętałem jednak tego miejsca i samej katedry. A jest wspaniała – ogromna, dostojna, bogata i piękna. Nie mogę widzieć jej uroku, ale opowiedzieli mi o niej przyjaciele, z którymi tam byłem. Zasiadłem więc mniej więcej na środku i doczekałem się dźwięków prosto z Nieba. Organista zaczął grać i już nic się nie liczyło, tylko te dźwięki, które płynęły przez całą objętość powietrza, wypełniając obiekt. Organy nieco

inne niż gdzie indziej. O ich budowie i historii można przeczytać w Internecie, więc nie będę tego cytował, chcę natomiast podzielić się ogarniającymi mnie odczuciami, kiedy słuchałem tej muzyki. W tym bowiem przypadku dźwięki były jakby jaśniejsze. Słyszałem wyraźniejsze wysokie częstotliwości, sprawiające, że organy brzmiały bardziej jak instrumenty wiolinowe niż dęte. Tutaj bardziej skrzypce niż trąbki i puzony. Ale nie to, żeby brakowało miłego basu, a tylko że i on brzmiał jaśniej. Dźwięki unosiły się w przestrzeni, a słuchacze zakochani w takiej muzyce razem z nimi. Jedni unoszą się wtedy do Boga, inni do wyższej świadomości, a wszyscy cieszą się, że mamy także słuch, a nie jedynie wzrok.

Kilka dni później dojechałem do Gdańska i odwiedziłem kolejny kościół – Bazylikę Mariacką, katedrę o jeszcze większej sławie niż Katedra Szczecińska. Wysłuchałem organów, które znam o wiele lepiej. Często bywam w Trójmieście, a za każdym razem odwiedzam to miejsce. Te organy są jakby bardziej oczywiste. Ich dźwięk mnie nie zaskakuje. W jakiś sposób nabrałem przekonania, że właśnie takie organy są standardowe, ale być może jest zupełnie odwrotnie. Co ważne, za każdym razem, czy to w Szczecinie, czy w Gdańsku, a także w każdym innym miejscu, gdzie są muzycznie i historycznie wartościowe organy, grają na nich muzycy wybitni. I właśnie także w tych miejscach, które odwiedziłem już w tym roku, tak jest. I okazuje się, że nawet podczas zwykłej Mszy Świętej nawet najpopularniejsze pieśni można grać nowocześnie. Słyszymy wtedy skomplikowane akordy, ułożone adekwatnie do głównej melodii, a towarzyszą im przechadzki po basowej klawiaturze, na której muzyk gra stopami. Sama katedra w Gdańsku może jest nawet nieco większa od szczecińskiej, ale nie jestem tego pewny. Nie zmierzyłem ich i nie widziałem odległości, a słuchem czy krokami podczas zwiedzania znaczącej różnicy nie wychwyciłem. Wiem coś innego, bardzo ważnego – są potwierdzeniem ludzkiej przemyślności i pracowitości, zarówno ze strony architektów, budowniczych tych obiektów, jak i ludzi dbających o nie teraz. Są też świadectwem współpracy różnych narodów, wbrew przykładom konfliktów pomiędzy nimi.

Podczas tamtego wyjazdu musiałem pojechać również do Oliwy i odwiedzić Katedrę Oliwską. Tam są bowiem najsłynniejsze organy w Polsce. Tam byli

chyba wszyscy rodacy i goście z zagranicy, którzy czynią to wielokrotnie w ciągu swojego życia. Podobnie ja. Tym razem jednak byłem tak samo ucieszony, jak zawiedziony. Dźwięk cudowny, odgłosy poruszających się figur także, ale dlaczego organista grał jedynie 20 minut? Całość występu zajęła niecałe 30, ale przecież w jego skład wchodzi rozległa zapowiedź wyjaśniająca z czym mamy do czynienia. Jest wygłaszana po polsku i w innych językach, toteż trzeba troszkę poczekać na samą muzykę. Poczekałiśmy więc, ale wtedy „mieliśmy” już tylko wspomniane 20 minut. Szkoda, kiedy same organy są tak wspianiałe. Kto je zbudował, kiedy i jak, można odczytać w sieci, a ja jedynie dodam, że po wysłuchaniu organów w katedrze szczecińskiej i gdańskiej, byłem trochę zaskoczony. Otóż tamte dwa wywarły na mnie większe wrażenie. Może wynikało to z mojego osobistego nastawienia, aktualnego nastroju – czy ja wiem, jednak muszę to odnotować, bo może dotykamy kolejnego przykładu efektywności dobrej promocji, względnie jej braku.

I tak, nawet gdybym widział, zamknąłbym oczy i oddał się urokowi tych dźwięków, niezależnie od osobistych przekonań wiedziałbym, że mam do czynienia z muzyką płynącą z Nieba, przygotowaną specjalnie dla tak nawiedzonych zwiedzających jak ja. Namawiam – jedźcie tam i posłuchajcie!

Muzyka to rzecz dana każdemu, ale nie wszyscy cieszą się nią tak samo mocno. Ja natomiast cieszę się nią ogromnie. Czy chodzi jedynie o autentyczny i przemiły, fizyczny rezonans, czy raczej bogatszą od innych własną wyobraźnię, powodującą uruchomienie reakcji duszy... Spróbujmy porozumieć się, że nie do końca to wiadomo. W każdym razie ci, którzy zwracają uwagę na dźwięki, lubią się wsłuchiwać w muzykę świata i wiedzą o czym piszę. I proszę sobie wyobrazić, rok po tamtych przeżyciach spotkało mnie mniej więcej to samo.

Wyjechaliśmy na kolejne wakacje - tym razem naprawdę daleko – do Danii (oczywiście samochodem i oczywiście przez Niemcy). Najpierw byliśmy z naszym synem Cyprianem w Gdańsku na mistrzostwach Polski w speedcubingu, czyli układaniu kostek Rubika. Cyprian nie układa ich na czas, lecz poszukuje najkrótszych rozwiązań prowadzących do prawidłowego ułożenia kostek

3 x 3 x 3. Tutaj muszę wyjaśnić, że ta klasyczna kostka przestała być jedyną. Od niej co prawda zaczęła się cała historia pomysłu pana Rubika z Węgier, ale teraz, po latach zabawy mamy do czynienia z bardzo różnymi kształtami kostek, na przykład dwunastościennymi, prostopadłościami 7 x 3 x 3, piramidkami albo kostkami zmiennokształtnymi. Tak się złożyło, że w Gdańsku został mistrzem Polski, a na dodatek ustanowił nowy rekord kraju. Ze złotym medalem w plecaku ruszyliśmy w stronę Danii. Najpierw Niemcy – Rostock i Kilonia, potem granica i Kolding, gdzie po cudownym barbecue skręciliśmy na wschód w stronę Kopenhagi. Można się do niej dostać samochodem, mimo konieczności przejechania przez dwie poważne wyspy. Właśnie ich wielkość spowodowała konieczność wybudowania dwóch mostów - jeden łączy Półwysep Jutlandzki z wyspą Fonia, drugi Fionię z Zelandią. Proszę sobie wyobrazić nasze emocje, kiedy byliśmy na tym drugim moście, nad cieśniną Wielki Bełt. Ma aż 18 kilometrów długości i wiedzie nad wodami Bałtyku, w najwyższym miejscu 75 metrów nad poziomem morza.

W Kopenhadze Cyprian ustanowił kolejny rekord kraju i wygrał zawody - został Mistrzem Europy w swojej kategorii. Sukcesy naszego syna są tym bardziej imponujące, że jest osobą mocno słabo widzącą, jednym z bardzo nielicznych niepełnosprawnych zawodników. Być może jest jedynym słabowidzącym w gronie reprezentantów krajów. Jego rekord to ósmy wynik w historii tej dyscypliny na świecie, a trzeba powiedzieć, że ma ambicję go poprawiać. On walczył o medal, a my mieliśmy czas na zwiedzanie stolicy Danii i jej okolic. Dla mnie celem głównym była kopenhaska katedra, w której spodziewałem się usłyszeć wyjątkowe organy. Chodzi o katedrę Marii Panny (duń. Vor Frue Kirke). To bodaj najważniejszy luterański kościół w Danii. Za Internetem:

Pierwotnie była to świątynia drewniana, zbudowana z polecenia biskupa Roskilde Pedera Sunesena, poświęcona w 1209 r. Od końca XII w. była świątynią kamienną, prawdopodobnie romańską. Odbudowana w stylu gotyckim i powiększona po pożarze w 1316 r. W 1515 r. wieża katedry otrzymała gotycką iglicę. W pierwszych latach reformacji katedra była ostatnim bastionem katolicyzmu w Kopenhadze. W 1530 r. została zdemolowana przez rozwścieczony

tłum protestantów. Po wielkim pożarze w 1738 r. odbudowano ją w stylu baroku niderlandzkiego. Podczas bombardowania Kopenhagi we wrześniu 1807 r. przez flotę brytyjską, która celowała w wysoką na ponad 100 metrów wieżę, spłonął dach barokowej świątyni i jej wnętrze. Postanowiono nie odbudowywać świątyni, lecz zburzyć ruiny i wznieść nową katedrę. Obecnie, po odbudowie z lat 1817-1829, ma charakter neoklasycystyczny. Jej fasadę tworzy portyk złożony z 6 kolumn i tympanonu wyobrażającego Chrystusa ze swoimi uczniami. Po obu stronach portyku znajdują się pomniki z brązu. Jeden z nich wyobraża Mojżesza, drugi Dawida. Wnętrze świątyni jest dosyć surowe i oszczędne w wystroju, utrzymane w jasnych kolorach. Tworzy je galeria składająca się z 28 kolumn (po 14 z każdej strony nawy głównej), wzdłuż której zostały ustawione marmurowe rzeźby Bertela Thorvaldsena wyobrażające 12 apostołów. W ołtarzu głównym znajduje się kolejna jego rzeźba przedstawiająca Chrystusa. Duńskiego rzeźbiarza doceniano także nad Wisłą. W 1820 r. otrzymał zlecenia na najważniejsze ze swoich polskich realizacji. Pierwszą z nich jest konny pomnik księcia Józefa Poniatowskiego z roku 1832, którego wierna replika stoi przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie. Oryginał został zniszczony w czasie II wojny światowej. Drugim słynnym dziełem Thorvaldsena, stworzonym na zamówienie Polaków, jest pomnik Mikołaja Kopernika z roku 1822, który znajduje się przed Pałacem Staszica, czyli niegdysiejszą siedzibą Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Półkoliste, ozdobione kasetonami sklepienie katedry jest utrzymane w kolorze białym. Przed ołtarzem znajduje się marmurowa chrzcielnica w kształcie klęczącego anioła trzymającego w dłoniach wielką muszlę morską. W latach 1445-1648 katedra była kościołem koronacyjnym królów duńskich i nadal jest wykorzystywana przez duńską rodzinę królewską. Katedra posiada świetne, nowoczesne organy. W XIX w. organistami byli tam m.in. dwaj sławni duńscy kompozytorzy: Christoph Ernst Friedrich Weyse i Johan Peter Emilius Hartmann.

Właśnie z powodu przytoczonych tu informacji nabrałem przekonania, że te organy muszą być świetne i się nie zawiodłem. Dotarliśmy tam na niedzielną mszę – oczywiście luterańską. Uf, co tam się działo! Mszę odprawiła pani pastor – kobieta w średnim wieku, poważna, zamyślona, zaangażowana. Nie rozumieliśmy

co prawda jej duńskiego kazania, ale nie przeszkodziło nam to w rozkoszowaniu się miejscem i dźwiękami. Wierni skupieni, wyciszeni, zdyscyplinowani. Można było odnieść wrażenie, że jest to grono elitarne. Staraliśmy się zachowywać jak oni, dostrzegając różnice pomiędzy tym, jak się celebrowała msza tam i u nas. I zaczęło się to, na co czekałem. Zabrzmiały organy! Coś niesamowitego – brzmiały inaczej niż w Polsce. Nasze brzmia ostrzej, wyraźniej, jakby na kolor srebrny z silnymi basami, a tamte łagodne, jakby zmatowiały, może wpadające w brzmienie wiolonczeli. I grał organista - wybitnie, mądrze, nowocześnie, że aż chciało się tam być i być. Zaraz potem zabrzmiał chór – Boże, jaki świetny! W życiu nie słyszałem takiego zgrania, swobody, wibracji, dokładności. Chór duży, liczny, a żadnego błędu ani potknięcia. Wszystko równiutko, bez odchyień co do wysokości dźwięków i ich głośności!

Niech jeszcze będzie mi wolno podzielić się relacją z celebrowania udzielania wiernym Komunii Świętej. Pani pastor, z drugą kobietą, pełniącą rolę jakiegoś rodzaju asysty, udzielała jej kolejnym grupom osób – może 15 naraz, najpierw opłatek, potem – domyślamy się - wino. Wierni podchodzili z kolejki, jakby było to wcześniej uporządkowane, zaaranżowane, jedni po drugich, wszystko w skupieniu, milczeniu, a w tle Komunii te organy i chór, i trwało to naprawdę długo i długo, a i tak jak dla mnie zbyt krótko. Po mszy pastor podchodziła do wiernych i czy to rozmawiała, czy jedynie się z nimi żegnała, a może dziękowała za udział, niektórym podawała rękę. Zapewniam, że w sumie było to dla nas duże przeżycie.

Wyjechaliśmy ze zbyt drogiej Danii, ja zmartwiony zimnem, które tam panowało. W Polsce nawet 36 stopni ciepła, w Anglii rekord wszechczasów – ponad 40, a tam ledwie 17 i nieprzyjemny wiatr od morza. Mnie, po ledwo zwalczonym Covidzie, nie mogło się to podobać. Ruszyliśmy w drogę powrotną – najpierw do Hamburga, potem Brunszwiku. I co mnie tam spotkało? Otóż w Hamburgu znaleźliśmy kolejne cudowne organy. Za Internetem:

Kościół św. Michała (Hauptkirche), najbardziej znany spośród pięciu głównych kościołów Starego Miasta, jest kościołem ewangelicko-luterańskim. Jego

wysoka wieża, zakończona smukłą, miedzianą kopułą, zwana pieszczotliwie „Michel”, była postrzegana przez stulecia przez przybywających od strony morza jako pierwszy rozpoznawalny symbol miasta. Tak jest również i dzisiaj, gdy jego wieża wraz z pięcioma innymi wysokimi wieżami z okolicy (wieże pięciu głównych kościołów oraz wieża ratuszowa) dominuje, niczym korona, nad zabudową centrum Hamburga. Wieże te są zarazem nielicznymi, ocalałymi ze zniszczeń wojennych świadkami szczególnej historii tego hanzeatyckiego miasta. To najważniejszy i najpiękniejszy kościół barokowy w północnych Niemczech, który obok drezdeńskiego kościoła Najświętszej Maryi Panny jest główną świątynią protestancką Niemiec. W nim świętowano zakończenia wojen. Nad głównym portalem umiejscowiony jest wielki, brązowy posąg patrona świątyni, Archanioła Michała, przedstawiający jego zwycięstwo nad diabłem.

I tutaj przeżyłem coś niesamowitego. Nie byliśmy na mszy świętej, ponieważ wszelkie dostępne anonse głosiły, że odbywają się tam jedynie modlitwy przy muzyce – organowej oczywiście. Spektakl trwał zaledwie 20 minut, a chciałoby się, by trwał „wiecznie”. Trzykrotnie zabrał głos pastor. Ponownie nic nie rozumieliśmy, ponieważ mówił w nieznanym nam języku niemieckim. Nic - to może jednak przesada, bo jednak używał słów jasnych dla każdego – Jezus Christ, Jan Sebastian Bach itp. Jego refleksje skoncentrowane na tekście Biblii prowadziły do prezentacji trojga z czworga znajdujących się tam organów. Na emporze zachodniej są organy główne Steinmeyera z 86 głosami i 6665 piszczałkami, na bocznej fernwerk, na północnej, tzw. Koncertowej, organy Marcussena, a na wyższej, południowej emporze tzw. organy bachowskie i małe, romantyczne, które znajdują się w krypcie. W roku 2009 dokonano generalnego ich przeglądu i konserwacji. Zbudowano wtedy nowy fernwerk na poddaszu, a także nowe organy bachowskie oraz wspólny dla organów głównych, fernwerku i organów koncertowych, 5-manuałowy, centralny stół gry, ulokowany na emporze koncertowej, będący idealnym rozwiązaniem dla symfonicznej muzyki organowej. Zamysł ich połączenia w jeden instrument, mający łącznie 145 głosów, sprawił, iż muzyka rozbrzmiewająca we wnętrzu kościoła dostarcza słuchaczom wyjątkowych przeżyć.

Pierwszy utwór Bacha i pierwsze organy, potem drugie i trzecie, a nie bardzo wiem, które z nich kolejno grały. wszystkie wspaniałe, także bardziej matowe i wyłagodzone w porównaniu z obecnymi w Polsce, jakby grały skrzypcami, a nie samymi piszczalkami. Było cudownie i każdemu doradzam, by tam zawitał, jak tylko trafi mu się okazja. Pastor elitarny, co było słyszać nie tyle w jego niezrozumiałych niemieckich słowach, lecz w sposobie mówienia i tonie głosu. W kościele atmosfera podniosła, wśród obecnych sporo turystów, ale i lokalnych wiernych; wśród nich my z naszym oczarowaniem. Miałem okazję przekonać się, że grać umieją nie tylko Polacy, lecz nawet przeciwnie – organiści w Kopenhadze i Hamburgu wydali mi się nawet w jakiś sposób lepsi, bardziej profesjonalni. Żadnego błędu, niepewności, ogromna koncentracja, powaga i dokładność. A organy - te jakby skrzypcowe, może przypominające nieco nowoczesne syntezatory, które słyszymy w muzyce elektronicznej albo rockowej, wprost niebiańskie. I skąd te dźwięki, które ozdabiają życie takich ludzi jak ja – niewidomych, dużo słyszących, zamieniających brak wzroku na dar słyszenia i dotykania, którzy zanudziliby się w swoim nieco upośledzonym życiu, gdyby nie takie atrakcje jak muzyka organowa czy to tam, w Danii i Niemczech, czy tutaj - w Szczecinie, Gdańsku, a także Warszawie, Krakowie i Kamieniu Pomorskim. A gdyby nie muzyka, to jeszcze te wspaniałe celebracje pełne powagi, mądrości i szacunku do Boga i do innych ludzi. A towarzyszą temu dźwięki zaprojektowane nieprzypadkowo. Jeśli ktoś sądzi, że organy wyniknęły z chwilowego geniuszu, to się myli. Ich dźwięk tak samo oddaje Boską atmosferę, jak „wariactwo” Jimiego Hendrixa, albo stateczność Milesa Davisa hałas współczesnych miast. Wsłuchajcie się w te brzmienia i spróbujcie zastanowić, jaki jest ten nasz świat, jacy jesteśmy my, albo jacy są ci, którzy potrafią zrzuć otaczającą nas rzeczywistość w swoich dziełach sztuki. Ba, więcej! Jak to wszystko zostało urządzone i jak z tego korzystamy? Potrafimy sensownie i pięknie, więc tak jak w tych wspaniałych katedrach, czy raczej, jak widzimy teraz, na umęczonej Ukrainie!



Niewidomi w muzyce

Od samego początku źle widziałem, ale raczej dobrze słyszałem. Od niepa-miętnych czasów muzykowałem. Najpierw polegało to na mruczeniu byle czego i upodobaniu do zabawek, które dźwięczały, wreszcie gdy miałem 5, 6 lat pod-śpiewywałem sobie i waliłem dłońmi w cokolwiek, by udawać perkusję. Mówiłem wtedy, że chcę być muzykiem, względnie że na pewno nim będę. Mama w to uwierzyła i wypożyczyła skrzypce od ciotki, która uczęszczała do szkoły mu-zycznej. Kiedyś brała udział w koncercie dużej orkiestry, chyba chodziło jednak o orkiestrę szkolną, a nie profesjonalną. Skrzypce od niej wylądowały na szafie, bo gdy dostałem je w ręce, nie wiedziałem co z nimi robić. Doświadczenie to powtórzyłem mniej więcej dwa lata temu, kiedy wziąłem do rąk kolejne skrzypce, tym razem w sklepie muzycznym, i znowu nie miałem pojęcia, co robić, by wy-dały sensowne dźwięki. Tu lekki, delikatny i zbyt mały instrument, tu smyczek, a tu ja z głupią miną i myśl, by syn, nasz wspólny przyjaciel oraz sprzedawca nie ocenili mnie przesadnie źle. Skrzypce sprzed ponad 50 lat czekały na szafie na lekcje muzyki, do których ostatecznie nie doszło. Udałem się do szkoły i już na początku pierwszej klasy podstawowej, gdy mama zgłosiła, że chcę być muzy-kiem, trafiłem na muzyczny test. Nie zdałem go! Nauczyciel stwierdził, że mam za mało słuchu, albo raczej że mój słuch jest za słaby. Prysły marzenia o graniu i koncertowaniu. Całe lata później dowiedziałem się od Janusza Skowrona, że ten gość mógł nie mieć racji. Najpierw należy poćwiczyć słuch, a dopiero potem sprawdzać. Czego nie umiałem podczas tamtego egzaminu? Gdy po raz pierwszy w życiu miałem do czynienia z taką czynnością jak naciskanie tych samych kla-wiszy co nauczyciel, udawało mi się powtarzać pojedyncze i podwójne dźwięki, ale już nie pełne, 3-dźwiękowe akordy. Wtedy zmartwiłem się tylko na chwilę, bo natychmiast postanowiłem być matematykiem.

Muzyka jednak ze mną została. Nie ma mowy bym nie miał płyt i to kupo-wanych czy zbieranych w dwóch celach – by słuchać oraz wspierać muzyków,

którzy bez naszych pieniędzy mogliby przestać grać. Muzyka to niebywała rzecz – rozkoszna zabawa i bardzo poważny język. Dzięki niej potrafimy wypowiedzieć coś, czego werbalnie nie możemy. Bierze się do rąk gitarę, względnie siada przed klawiaturą pianina, rzadziej fortepianu, i odgrywa się własną duszę, albo ducha otaczającej rzeczywistości. W tej sytuacji trudno się dziwić, gdy moimi idolami są muzycy, a co dopiero muzycy niewidomi!

Straciłem wzrok w wieku niecałych trzynastu lat. W tym wieku tracili go także moi przyjaciele, o których napisałem książkę „Ich trzecie oko”. Inni tracili wzrok kiedy indziej albo na innej zasadzie. Nie musieli przecież ulegać wypadkom. Mogli zapadać na różne choroby, które powodowały podobne nieszczęście. Jednym z moich idoli był, znaczy nadal jest, Ray Charles, o nieznanym powszechnie pełnym nazwisku Robinson. Urodził się w 1930 roku, w Albany, w stanie Georgia. Jego matka (Aretha Williams) pracowała w tartaku, a ojciec (Bailey Robinson) był mechanikiem. Mimo konserwatyizmu Ameryki, szczególnie w tamtych czasach, jego rodzice nigdy nie pobrali się. Szukali nowych życiowych szans i przeprowadzili się do Greenville na Florydzie. Zamiast je znaleźć, nadal im się nie wiodło. Na dodatek odszedł od nich ojciec. Ray w wieku pięciu lat zaczął tracić wzrok, a w wieku siedmiu lat za przyczyną jaskry całkiem zaniewidział. Wyobraźcie sobie jego sytuację. My w Polsce, w naszych czasach, byliśmy, a tym bardziej jesteście otoczeni opieką – a to bliskich, a to służb medycznych. Ray na pewno tak nie miał - na pewno matka nie miała dla niego wystarczająco dużo czasu, a o amerykańskiej służbie zdrowia nawet współcześnie trudno dobrze mówić. Mały chłopiec zdążył jeszcze widzieć coś, czego nikt, a zwłaszcza dziecko, widzieć nie powinno. Gdy miał pięć latek, na jego oczach utonął jego młodszy brat! Nie wiemy jak się to stało, a zawsze, gdy wspominał to wydarzenie, Ray za ten wypadek obwiniał samego siebie.

Dzisiaj trwa trudna dyskusja – edukacja specjalna czy włączająca. Jak wiadomo włączająca powinna być preferowana, a nawet jest, tyle że nie jest w Polsce, a także gdzie indziej wystarczająco dofinansowana, toteż mimo tego właściwego ideowo podejścia, szkoły specjalne są w wielu przypadkach, znaczy dla wielu niewidomych uczniów rozwiązaniem życiowo najlepszym. Jak jednak było tam,

w Stanach, około 80 lat temu? Nie wiemy! W każdym razie Ray uczęszczał do szkoły specjalnej dla niewidomych Florida School for the Deaf and Blind w St. Augustine na Florydzie, gdzie nauczył się alfabetu Braille'a, a także komponowania muzyki i grania na różnych instrumentach. Zapewne nie wiecie, że umiał grać na przykład na klawirze, ale wiecie, że grał na fortepianie. Trzeba przyznać, że grał sprawnie i bardzo charakterystycznie. Wystarczy kilka akordów, by wiedzieć, że to on. Już w tej szkole zaczął grać w zespołach, wykonując różne gatunki muzyczne, w tym coraz modniejszy jazz. I powtarza się sytuacja – nie widzieć, to przede wszystkim słuchać. Nie mamy informacji, jakoby Ray koncentrował się także na dotyku, chociaż w przypadku niewidomych najczęściej jest to nieuchronne. Dlaczego? Brak wzroku musi być czymś zrekompensowany. Gdyby nie rozwijać innych zmysłów i nimi się nie fascynować, życie bez obrazu musiałoby być bardzo nudne. Ray nie tylko skoncentrował się na słuchu, ale jak się okazało był w tej dziedzinie wybitnie uzdolniony.

Wyobraźcie sobie co musiał przeżyć, gdy będąc niewidomym stracił najbliższą osobę – matkę. Zmarła kiedy miał zaledwie 14 lat. Jej śmierć była dla niego szokiem. Później powiedział, że śmierć jego brata i matki to dwie największe tragedie w jego życiu.

Zapewne również mało kto wie, że Ray doświadczył wtedy skrajnej biedy. Tak, tak, takie były czasy, albo taka była Ameryka. Co więcej, można mieć poważne wątpliwości czy jest już inaczej. W wieku 16 lat Ray przeprowadził się do Orlando i właśnie tam żył w skrajnym ubóstwie. Nie wyobrażamy sobie teraz, co to znaczy nie mieć co jeść przez kilka dni z rzędu! Cóż – niewidomy chłopak, bez rodziców, w kraju, w którym w tamtych czasach każdy musiał zadbać o swoje sprawy sam.

Jako siedemnastolatek przeniósł się do Tampa, gdzie znalazł pracę jako pianista, a niedługo potem ruszył w drogę. Przejechał autobusem prawie cały kraj, by, tak jak Nat King Cole i Charles Brown, zacząć karierę pianisty w Seattle. Tam spotkał 15-letniego Quincy'ego Jonesa, z którym przyjaźnił się przez całe życie. Tylko pozazdrościć – ja też bym chciał poznać takiego gościa! Może dzięki temu jednak zostałbym muzykiem? Doradziłby co należy i nauczył zdawać muzyczne egzaminy!

Czy Ray był dobrze zrehabilitowany? Trudno powiedzieć. Głównie dlatego, że samo określenie nie jest jednoznaczne. Skoro potrafił przejechać całe Stany, musiał to umieć oraz mieć wiele osobistej odwagi i uroku. W czasie takich eskapad zdarzają się przecież różne sytuacje. Ja też jeździłem po Polsce tu i tam, kiedy miałem około 20 lat, teraz jednak nie zdołano by mnie końmi wygonić, bym się na to zdecydował. Po prostu jest za trudno i zbyt niebezpiecznie.

Jak wiecie, nie popieram takiego podejścia rehabilitacyjnego, w ramach którego człowiek niewidomy nie musi zasłaniać oczu. Od razu po utracie wzroku moja siostra zadbała o to, bym zasłonił oczy, ale nie było to naszym wynalazkiem. Pomyślano o tym wcześniej. Niewidzące oczy są dla innych dziwne nawet wtedy, gdy nie są uszkodzone. Po prostu nie „pracują” jak należy. Rozmówca niewidomego stoi na przykład po jego lewej stronie, a jego oczy jakby nigdy nic patrzą na prawo. Często nie patrzą w żadnym kierunku, bo występuje oczopląs i oczy wiercą się we wszystkie strony świata. Co dopiero, gdy gałki są uszkodzone! Przecież to jeden z głównych obiektów służący komunikacji z innymi ludźmi. Nie wiadomo, czy zrozumiał to sam Ray Charles, czy ktoś mu to podpowiedział. W każdym razie niedługo po wyruszeniu w świat jego znakiem firmowym stały się ciemne okulary, które zawsze nosił.

Jego kariera wystartowała wtedy na dobre. Jak miałoby być inaczej, gdy dzięki talentowi spotyka się i zawiera przyjaźń z takimi muzycznymi tuzami jak Quincy Jones! W kwietniu 1949 nagrał utwór „Confession Blues”, który stał się jego pierwszym krajowym hitem, a po sukcesie kilku pierwszych singli przeprowadził się w 1950 do Los Angeles. Było jasne, jakim talentem dysponuje i mimo sytuacji zdrowotnej pomagało mu wielu ludzi, byle tylko grał i śpiewał.

Po podpisaniu kontraktu ze Swing Time Records nagrał dwa hity już pod własnym nazwiskiem: „Baby, Let Me Hold Your Hand” i „Kiss Me Baby”. Kiedy Ray spotkał Ahmeta Ertegüna, podpisał kontrakt z wytwórnią płytową Atlantic Records, gdzie wykazał swoją nieprzeciętną wyobraźnię, połączył bowiem gospel - muzykę amerykańskich chrześcijan, z bluesem, głównie muzyką zabawy, żeby nie rzec zawadiackiego luzu. Rezultaty były tak kontrowersyjne, że jego wczesne



przeboje w wielu rozgłośniach radiowych były zakazane. Mimo to po nawiązaniu tej współpracy, Ray miał na swoim koncie kolejne duże hity, które zdominowały amerykańskie listy przebojów. Przyszedł też czas na międzynarodowy sukces, który mu przyniósł w 1955 roku utwór „I Got a Woman”. W wieku zaledwie dwudziestu kilku lat Ray Charles został nazwany określeniem przeznaczonym wyłącznie dla ludzi najzdolniejszych – geniusz. Powszechnie znamy Raya Charlesa z jego rozlicznych przebojów. Są nimi dosyć proste piosenki, które jednak tak bardzo różnią się od innych, że wystarczą nawet zaledwie dwa akordy, by było jasne, że to ten mistrz. Miał także bardzo charakterystyczny głos, którego nie da się pomylić z kimkolwiek. Zawsze brzmiał jakby Ray był starszy niż był, a także jakby mocno seplenił. Mogło to się nie podobać, ale gdy został sławnym wokalistą, kto by rozważał jego wadę. Nawet nie jestem pewny, czy faktycznie ją miał. W każdym razie i owszem - ten głos i wyśpiewywane słowa brzmią specyficznie.

Ray nie ograniczał się do prostej „muzyczki”, przeciwnie - nagrywał także jazz. Stworzył na przykład instrumentalny album „The Great Ray Charles”. Współpracował z wybitnym jazzowym wibrafonistą Miltem Jacksonem, wydając płytę „Soul Brothers” w roku 1958 i „Soul Meeting” w roku 1961. Starał się wzbogacać brzmienie swoich nagrań. To nie tylko specyficzna gra na fortepianie i charakterystyczny głos, ale także wyjątkowy i bardzo odkrywczy jak na tamte czasy żeński chórek. Współpracował z grupą młodych dziewczyn z Filadelfii, tworzących zespół The Cookies.

W 1959 roku Charles zakończył współpracę z wytwórnią Atlantic i podpisał bardziej lukratywny kontrakt z ABC Paramount Records, gdzie nagrał najpopularniejsze swoje piosenki: „Georgia on My Mind”, „Hit the Road Jack” i „Unchain My Heart”. To on rozpopularzył w Stanach, a następnie na całym świecie gospel, nowoczesny blues, a także country. Chyba wszyscy go znamy i podziwiamy - wszyscy to może pewna przesada. Chodzi o tych, którzy w ogóle chcą coś znać i wiedzieć.

Niewidomy Ray po przeżyciach nastolatka, śpiewający muzykę czarnoskórych Amerykanów, często chrześcijańską, nie był jednak facetem dobrze ułożonym

i spokojnym. Być może potrzebował odreagowania – miałem ciężko, to mogę sobie to zrekompensować. W 1965, a więc w wieku 35 lat, Charles został aresztowany za posiadanie heroiny. Był od niej uzależniony przez niemal 20 lat. W roku 1966 na warunkowym, przedterminowym zwolnieniu spędził rok, a z nałogu wyleczył się w specjalistycznej klinice w Los Angeles.

Z różnymi kobietami miał aż dwanaścioro dzieci. Formalnie był żonaty dwukrotnie. Pierwszą żoną była Eileen Williams, ale ich małżeństwo nie trwało długo - zostało zawarte w roku 1951 i zakończyło się w już w 1952. Drugą żoną była Della Beatrice Howard Robinson, z którą miał trzech synów, a ich małżeństwo trwało znacznie dłużej, od roku 1955 do 1977, a więc 22 lata. Być może najważniejszą jego partnerką była jednak wieloletnia jego przyjaciółka, pozostająca z nim do śmierci, Norma Pinella.

Ray nie unikał ludzi, był bardzo otwarty – może jak widać czasem przesadnie. Nie unikał również telewizji, co na pewno świadczy o braku kompleksów. W czasem pogodził się z brakiem wzroku, bo przecież zrekompensował mu to muzyczny talent. W roku 1977 wystąpił w roli prowadzącego w popularnym programie telewizji NBC „Saturday Night Live”. Nie unikał filmu i kina. Wystąpił gościnnie w filmie „The Blues Brothers” i w kilku telewizyjnych serialach i programach rozrywkowych.

Czy pamiętacie wielki przebój z roku 1985 „We Are the World”? Uf, jakież to genialne! Kogóż nam tam brakuje! Ray był jednym z artystów, którzy nagrali tę charytatywną piosenkę. Był człowiekiem zaangażowanym społecznie i politycznie. W roku 2002 wystąpił podczas koncertu „Time for Life - A Tribute for Peace”, który odbył się w Rzymie, wewnątrz antycznego Koloseum i był pierwszym tego typu wydarzeniem w tym miejscu od roku 404. Występ zorganizowany został przez międzynarodową organizację Global Forum oraz fundację Listen Up Foundation, założoną przez Quincy Jonesa.

Ray Charles zmarł 10 czerwca 2004 w swoim domu w Beverly Hills w Kalifornii, na raka wątrobowokomórkowego. Miał 73 lata. Pogrzeb odbył się 18 czerwca w Los Angeles, z udziałem wielu wybitnych muzyków. Hołd oddali mu m.in. B.B.

King, Glen Campbell, Stevie Wonder i Wynton Marsalis.

Ray Charles w dużym stopniu ukształtował odkryty przez niego samego nowoczesny rhythm and blues. Zmieszał gospel, country i jazz z akompaniamentem orkiestry i świetnych chórków. Został laureatem aż 17 Grammy i 53 nominacji do tej nagrody. Był wielokrotnie wyróżniany również w inny sposób. Frank Sinatra określił Charlesa mianem „jedynego prawdziwego geniusza w tym biznesie”, a magazyn „Rolling Stone” umieścił go na 10. miejscu listy 100 największych artystów wszech czasów. W roku 2004 wszedł na ekrany kin film biograficzny, opowiadający historię jego życia pt.: „Ray”, nagrodzony dwoma Oscarami.

Ostatni album Raya „Genius Loves Company” został wydany dwa miesiące po śmierci artysty. Składa się z piosenek nagranych przez Charlesa z różnymi wybitnymi artystami – królem bluesa B.B. Kingiem, jego idolem i przyjacielem Vanem Morrisonem, królem country Willie’em Nelsonem, Jamesem Taylorem, Gladys Knight, Michaeliem McDonaldem, Natalie Cole, Eltonem Johnem, Bonnie Raitt, Dianą Krall, Norą Jones i Johnnym Mathisem. Płyta ta zdobyła osiem nagród Grammy! Może największą sławą cieszy się w Georgii, gdzie w roku 1979 jego wersja „Georgia on My Mind” została uznana za hymn tego stanu.

Takiego mamy bohatera – wybitnego, niewidomego człowieka, który dosłownie i w przenośni wygrał swoje sukcesy porównywalne do osiągnięć ludzi pełnosprawnych. Cieszę się, że i my, Polacy, mamy takich rodaków.



